



Dodatek do „Spójni”, nr 2 (11), grudzień 2020, Sandomierz

Drodzy Czytelnicy!

Nadszedł grudzień! Niestety, mimo nadziei na powrót do normalnej rzeczywistości, jesteśmy zmuszeni spędzić kolejny miesiąc z dala od siebie. Redakcja „Sandomierskiej Strony” nie poddaje się i przygotowała dla Was kolejny, świąteczny numer.

Królują w nim dwa tematy: święta i stan wojenny, jaki wprowadzono 13 XII 1981 roku w naszym kraju. Grudniowa atmosfera sprzyja rozmowom i wspomnieniom, dlatego wywiady z naszymi bliskimi, znajomymi, sąsiadami zdominowały to wydanie „Sandomierskiej Strony”. Trudny czas epidemii uświadamia nam bardziej niż kiedykolwiek, jak ważne są relacje z innymi i jaką wagę mają wspomnienia. Oczywiście nie zabrakło też w tym numerze naszych stałych rubryk z ciekawostkami i rodzinną fotografią.

Święta zbliżają się coraz większymi krokami. W imieniu całej redakcji „Sandomierskiej Strony” życzę Wam zdrowych i pogodnych świąt Bożego Narodzenia, spędzonych w miłej oraz bezpiecznej atmosferze wśród bliskich. Niech Wasze Bożonarodzeniowe życzenia spełniają się w każdym momencie!

Agata Smyła



Stan wojenny w Polsce w relacjach świadków

13 grudnia 1981 roku wprowadzony został na terenie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, niezgodnie z Konstytucją PRL, stan wojenny. Trwał on do 22 lipca 1983 roku. Internowano wtedy około 10 tysięcy działaczy związanych z „Solidarnością”. Życie straciło kilkadziesiąt osób, w tym 9 górników kopalni „Wujek” w Katowicach podczas pacyfikacji strajku. Represje i zakazy dotknęły milionów ludzi.

Patrycja, Marta, Ola, Ewa i Magda rozmawiały na temat tego trudnego czasu za swoimi bliskimi, znajomymi, sąsiadami.

Byliśmy zastraszeni...

Na temat stanu wojennego w Polsce rozmawiałam z moją babcią - Eleonorą Stępień oraz dziadkiem - Romanem Stępiem (na zdjęciu).



Ile mieliście lat w chwili ogłoszenia stanu wojennego?

- Ja miałem 32 a moja żona Eleonora 28 lat.

Gdzie wtedy mieszkaliście?

- Mieszkaliśmy w Słupczy. Dom nie miał wtedy drugiego piętra, nie było też bramy, ocieplenia, a dach przeciekał w wielu miejscach. Zima była ciężka do przetrwania, ale jakoś dawaliśmy zawsze razem radę.

Jak wspominać dzień 13 XII 1981 r.?

- Pamiętam jakby to było wczoraj, że w niedzielę rano słuchaliśmy radia i nagle usłyszeliśmy komunikat, który wydał gen. Wojciech Jaruzelski o wprowadzeniu stanu wojennego na terenie całego kraju. Ludzie mieszkający na wsi na początku nie odczuli tego tak jak mieszkańcy miast. Staraliśmy się zająć rolą, zamiast mieszać się w politykę. U nas na początku nie było wojska i policji. Dzień minął jak każdy inny, lecz nasze złe przeczucia nie dawały nam spokoju. Wiedzieliśmy, że czeka nas trudny okres.

Jak wprowadzenie stanu wojennego wpłynęło na Wasze życie?

- Dość mocno je utrudniło, szczególnie, że wtedy mieliśmy chorą córkę - twoją mamę. Anetka miała roczek i musiała być pod stałą kontrolą lekarza w Lublinie. Musieliśmy jeździć co cztery tygodnie na wizytę. Musiałem wstawać o drugiej w nocy i iść na stację, żeby rano dostać bańkę z paliwem. Każdy, kto posiadał samochód, miał łatwiej. My, niestety, nie mieliśmy, ale nasz dobry znajomy tak. Zgodził się z nami jeździć, jeśli w zamian dostawał benzynę i trochę żywności. Dostać się do sklepów również było ciężko, w kolejkach stało się po kilka godzin. Później wprowadzono kartki na mięso. Córka jak potrzebowała mleka, to żona musiała chodzić po wsi i szukać kogoś, kto chciał odsprzedać trochę mleka od krowy. Potrzebowałem raz butów do pracy. Poszedłem do sklepu, po staniu kilku godzin w kolejce nie było w czym wybierać, więc brało się pierwszą parę butów, która wpadła w ręce. W domu okazywało się, że są one za małe lub za duże. Często były to też dwa lewe lub prawe buty. O 22 wprowadzono godzinę policyjną, po której nie wolno było wychodzić z domów. Telefonów też nie było, a jak się chciało zadzwonić to wszystkie rozmowy były kontrolowane.

Jak wyglądała praca podczas stanu wojennego?

- Eleonora zajmowała się córką, więc zostawała w domu. Ja byłem maszynistą chłodniczym, czyli chłodziłem sery, śmietany i inne. Potrzebowałem zawsze przepustki, idąc na zmianę do pracy. Komisarze pilnowali, żeby nie kraść, czy nie zjadać. Nie można było się zbierać w grupki po kilka osób, żeby nie było propagandy. Tak samo nie wolno nam było uprawiać polityki, byliśmy zastraszani.

To ciężki dla nas jak i wszystkich okres. Przetrwaliśmy go, teraz wszystko jest lepsze i mamy nadzieję, że młodsze pokolenia nie będą musiały przechodzić przez to, co my.

Podziękowałam dziadkom za odpowiadanie na moje pytania. Bardzo lubią wspominać wcześniejsze lata. Daje im to motywację, aby cieszyć się każdą chwilą spędzoną w szczęściu i spokoju.

Patrycja Duma

Cieszyliśmy się, że nie będzie klasówki z matematyki...

Marta Bisztyga: Mamo, ile miałaś lat w chwili ogłoszenia stanu wojennego?

Anna Bisztyga: Miałam wtedy 17 lat i uczęszczałam do drugiej klasy I Liceum Ogólnokształcącego im. Władysława Broniewskiego w Ostrowcu Świętokrzyskim.

Gdzie byłaś i jak dowiedziałaś się o wprowadzeniu stanu wojennego?

Mieszkałam w internacie. W niedzielę po południu uczyłam się na poniedziałkową klasówkę z matematyki. Wieczorem wybrałam się do świetlicy na film pt. „Niewolnica Isaura”. O godzinie dwudziestej przerwano transmisję i pojawiło się wystąpienie generała Wojciecha Jaruzelskiego, który ogłosił stan wojenny na terenie całego kraju.

Co poczułaś, gdy o tym usłyszałaś?

Było to dla mnie wielkim zaskoczeniem. Nie wiedziałam jeszcze wtedy, co tak naprawdę oznacza stan wojenny, dlatego wieczorem zachowywałyśmy się z koleżankami jak zawsze, a nawet cieszyliśmy się, że może będą zamknięte szkoły i nie będziemy mieć klasówki z matematyki.

Czy szkoły i uczelnie były zamknięte?

Tak, stan wojenny przerwał zajęcia na uczelniach i w szkołach. Wprowadzono dwa dodatkowe tygodnie ferii zimowych.

Kiedy i jak dowiedziałaś się o zamknięciu szkół?

Późnym wieczorem, gdzieś około godziny dwudziestej pierwszej. Poinformowano nas, że wszyscy mieszkańcy internatu mają go opuścić do godziny ósmej rano w poniedziałek, ponieważ w internacie będzie mieszkało wojsko. Każdy pakował swoje rzeczy i zanosiliśmy je do jednej, wyznaczonej sali. Panowało wówczas ogromne zamieszanie.

Czy bałaś się wtedy?

Tak, byłam przerażona. Powoli zaczęłam sobie uświadamiać powagę sytuacji. Myślałam, że to wojna, bałam się, że czołgi wjadą i zaczną do nas strzelać.

Jak zmieniło się funkcjonowanie ludzi po ogłoszeniu stanu wojennego?

Milicja sprawdzała tożsamość, każdy musiał nosić przy sobie dowód osobisty. Została wprowadzona godzina policyjna, która trwała od godziny dwudziestej drugiej do szóstej rano. Nie działały również telefony. Były wzmożone patrole milicyjno-wojskowe na ulicach, które kontrolowały wszystkich przechodniów. W telewizji można było jedynie obejrzeć w określonych godzinach dziennik wieczorny (wiadomości). Był zakaz przemieszczania się ludności poza teren województwa stałego zamieszkania. Przemieszczenie możliwe było jedynie tylko po uzyskaniu specjalnego zezwolenia – przepustki. Na półkach sklepowych były pustki, brakowało wszystkiego. Znajdował się tam tylko ocet. Były trudności w zaopatrzeniu się w żywność i artykuły pierwszej potrzeby. Każdemu na tak zwane „kartki” była przydzielana określona ilość cukru, mięsa, papierosów, alkoholu, czekolady, a nawet butów.

Czy życie w tamtych czasach znacznie różniło się od dzisiejszego?

Tak, diametralnie. W tamtych czasach było znacznie ograniczone i utrudnione życie, ale każdy starał się żyć normalnie, a w dzisiejszych czasach każdy może mieć to, co chce. Jest Internet, dostęp do wszystkiego i pełne półki z towarami w sklepach.

Mamusi bardzo dziękuję Ci, że zgodziłaś się odpowiedzieć na te kilka pytań.

Marta Bisztyga

Myślałam, że to wojna

Aleksandra Hebda: Babciu, gdzie mieszkałaś w chwili ogłoszenia stanu wojennego?

Jadwiga Utkowska: Razem z dziadkiem i dziećmi mieszkałam w Skaryszewie.

W jakim byłaś wieku w tamtym czasie?

Jak to wszystko się zaczynało, miałam 31 lat.

Jak wspominasz dzień 13 XII 1981 roku?

Ten dzień pamiętam bardzo dobrze. Była to niedziela. Jak zawsze, po porannym obrządku zwierząt, szykowałam śniadanie dla dzieci. Wszyscy razem czekaliśmy na teleranek, który był o 9:00 rano. Pamiętam również, że nie było obrazu i pomyśleliśmy, że znowu popsuł nam się telewizor. Później usłyszeliśmy przemówienie gen. Jaruzelskiego, podczas którego ogłosił stan wojenny.

Jak zareagowałaś na tę wiadomość?

Początkowo byłam przerażona. Nie miałam świadomości, z czym się to wiąże. Niedzielny poranek zamienił się w koszmar. Myślałam, że to wojna. Miałam w pamięci opowieści moich rodziców, którzy przeżyli wojnę i nie chcieli powrotu tamtych czasów. Wszyscy baliśmy się, że na ulice wyjadą czołgi. Z czasem jednak zaczęło się wszystko wyjaśniać.

Czy pamiętasz, jak zareagowały Twoje dzieci?

Jak wszyscy bardzo się bały. Razem z mężem staraliśmy się im wytłumaczyć, co dzieje się w kraju, jak się mają zachować, aby nie naraziły się i uniknęły niebezpieczeństwa.

Czy codzienność bardzo uległa zmianie?

Oczywiście. Została wprowadzona godzina policyjna, brak telefonów, zamknięte kina, teatry, biblioteki i muzea, brak benzyny, zostały wprowadzone dwutygodniowe ferie zimowe w szkołach, zostało ograniczone podróżowanie i przemieszczanie się z miasta do miasta. To, co najbardziej wszystkich zdziwiło, to kartki dosłownie na wszystko.

Na jakiej zasadzie działały kartki?

Na każdego członka rodziny przypadała kartka, na której znajdowały się wszystkie artykuły spożywcze i przemysłowe. Wszystko było dokładnie wyliczone. Nie mogłaś nabyć więcej produktu niż to, co miałaś na kartce. Były one również na określony okres czasu. Po upływie terminu ważności karta była bezużyteczna.

Czy dla wszystkich były identyczne kartki?

Nie, na kartkach dla dzieci znajdowała się dodatkowo wyznaczona ilość słodyczy, natomiast na kartkach dla dorosłych znajdowały się alkohol i tytoń.

Czy sklepy były dobrze zaopatrzone w produkty i łatwo było je zdobyć?

Było bardzo źle, jeżeli chodzi o zaopatrzenie. Wszystkie produkty były dostępne w ograniczonej ilości. Często też zdarzało się, że po dostawie połowa towarów była chowana pod ladą przez sprzedawców, którzy później sprzedawali to swoim znajomym. Zrobienie zakupów wiązało się z godzinnym staniem w kolejkach przed sklepem. Każdemu zależało, aby cokolwiek kupić, żeby nie chodzić głodnym.

Jak to wyglądało w zimę albo w deszczowe dni?

Dla wszystkich było to tak ważne, że nikt nie skarżył się na pogodę, nawet jak padało albo było bardzo zimno.

Co znajdowało się na półkach w sklepach?

Pamiętam, że jedyną rzeczą, której nigdy nie brakowało, był ocet. Oprócz tego w sklepach pojawiały się czasem: herbata, kawa, masło, wędliny, cukier, czekolada, proszek do prania, pasta do zębów. Pamiętam, że niskiej jakości wędliny czy nadpsute pomarańcze były rarytasami. W najgorszych momentach jednak musieliśmy zadowolić się masłem roślinnym, kawą zbożową czy szarym mydłem.

Skoro tak ciężko było zdobyć jakikolwiek produkt, to w kolejce stała jedna osoba, czy jakoś się wymienialiście?

Jak już wcześniej wspomniałam, najczęściej stało się godzinami. Każdy przychodził parę godzin przed otwarciem sklepu, aby być jak najbliżej początku kolejki i jako jeden z pierwszych wejść do sklepu. Wiązało się to z kupnem jakichkolwiek produktów. Najczęściej mój mąż i jego mama szli w nocy, by zająć kolejkę, następnie po paru godzinach ja z moją najstarszą córką - Twoją mamą, która była wtedy 10-letnią dziewczynką; zmienialiśmy ich, aby mogli trochę odpocząć. Mimo że byliśmy jednymi z pierwszych klientów, to nie zawsze udawało się zdobyć towar dobrej jakości.

Z tego co wiem, to stan wojenny przyczynił się do rozbudzenia zainteresowania sytuacją w kraju. Wpłynął również na zmianę rozkładu zajęć i obowiązków. Rodzice dłużej pracowali lub zmieniły się godziny ich pracy. Czy przypominasz sobie babciu coś z tych dni?

Ja osobiście nie pracowałam zawodowo. Zajmowałam się dziećmi i gospodarstwem. Za to mój mąż, który pracował w zakładzie produkującym skórzane obuwie męskie, codziennie o 4:00 rano wsiadał do pierwszego autobusu MPK, aby dostać się do pracy w Radomiu i zacząć pracę o godzinie 6:00. Późnym popołudniem wracał i przejmował obowiązki związane z gospodarstwem, a ja mogłam poświęcić więcej czasu moim dzieciom.

Jak dawaliście sobie radę?

Posiadaliśmy niewielkie gospodarstwo i myślę, że to pozwoliło nam przetrwać te trudne czasy.

Na zakończenie chciałabym się dowiedzieć, jak wprowadzenie stanu wojennego wpłynęło na Twoje życie Babciu?

Był to bardzo trudny czas. Jednak wydaje mi się, że ludzie byli bardziej otwarci na siebie i chętniej sobie pomagali. Jednocześnie trzeba było zachować dużą ostrożność przy wypowiadaniu swoich poglądów, ponieważ byli i tacy ludzie, którzy potrafili donieść odpowiednim służbom, jeśli nie zgadzałeś się ze wszystkimi zakazami i postanowieniami obozu rządzącego.

Babciu, chcę Ci podziękować za poświęcony czas i przybliżenie tamtych dni.

Cieszę się, że mogłam pomóc, choć myślę, że są ludzie, którzy mają inne wspomnienia z tamtych czasów.

Aleksandra Hebda

Wieczorem na ulicy pojawił się czołg

Jak Pani wspomina dzień, w którym ogłoszono stan wojenny w Polsce?

W 1981 roku chodziłam do pierwszej klasy liceum. Mieszkałam w Pionkach, gdzie był zakład produkujący części do uzbrojenia wojskowego. Na małym osiedlu wszyscy się znaliśmy, a większość naszych rodziców pracowała w tymże zakładzie.

Jak Pani się wtedy czuła? Jakie reakcje wywołało to wydarzenie wśród Pani rówieśników?

Kiedy w niedzielę o 9 wracałam z kościoła, osoby, które szły na kolejną mszę, mówiły, że nie ma w telewizji Teleranka. Dla dzieci i młodzieży był to ważny program i każdy z chęcią go oglądał. Po powrocie do domu razem z kolegami i koleżankami z bloku biegaliśmy od mieszkania do mieszkania, sprawdzając telewizory, bo myśleliśmy, że to tylko jakieś przejściowe spięcie. Jednak na każdym ekranie wyświetlało się białe tło z czarnymi kropkami, śnieżenie. Skoro nie było Teleranka, wszyscy wyszliśmy na dwór, żeby porzucać śnieżkami. Było bardzo zimno, jakieś -30°. W sąsiednim bloku mieszkał człowiek, który był zaangażowany w działalność Solidarności. Kiedy tak się bawiliśmy, pod ten blok podjechali jacyś ludzie. Między nimi zauważyliśmy tego solidarnościowca, próbowali go kryć i gdzieś wywieźli jednym z samochodów. Ale to nie była milicja.

W czasie ogłoszenia stanu wojennego rząd wprowadził 2 tygodnie ferii. Czy pamięta Pani jakieś historie, które wydarzyły się w tym czasie?

Po ogłoszeniu komunikatu przez gen Jaruzelskiego wszyscy mówili i myśleli tylko o jednym - o wojnie. W szkole nauczyciele zawsze przykładali dużą uwagę do nauki o drugiej wojnie światowej, dlatego dopiero wtedy dotarło do nas, młodych, co się naprawdę dzieje. Starsi przestrzegali nas i kazali na siebie uważać. Mieli rację, bo wieczorem na ulicy pojawił się tam czołg. W ciągu dnia żołnierze w ogóle się nie pokazywali i z niego nie wychodzili. O ich obecności świadczył obracający się od czasu do czasu peryskop, a o tym, że nie były to polskie wojska dowiedzieliśmy się w święta Bożego Narodzenia. Otóż z kilkoma znajomymi zrobiło nam się żal tych ludzi, więc postanowiliśmy zanieść im ciepłe jedzenie. Trochę przez niepewność, co nas czeka, a trochę przez żarty wzięliśmy ze sobą białą flagę. Widok, który zastaliśmy, był dla nas swoistym ciosem. Żołnierzami byli niewiele od nas starsi chłopcy w wieku 18 może 19 lat pod komendą jednego starszego, na oko dwudziestoparoletniego. Mieli na sobie polskie mundury, byli zarośnięci i brudni. Wzięli od nas jedzenie, ale nie usłyszeliśmy polskiego dziękuję, a spasiba. Nosiliśmy im później pomarańcze, barszcz i inne zupy. Stali tam na mrozie do Nowego Roku, a jakoś po Trzech Królach odjechali. Pojawił się za to samochód z kolejnymi żołnierzami, ale tamci mieszkali już w hotelu robotniczym.

Czy spotkanie się z rówieśnikami było tak swobodne jak przed ogłoszeniem stanu wojennego?

Nastąpiło zawieszenie wszelkiej działalności w tym i szkół. Wprowadzono zakaz zgromadzeń, nie można było wychodzić z domu. Podobnie jak teraz, jedna osoba mogła wychodzić do sklepu. Osoby, które pracowały, były legitymowane, a przy zakładzie strażnicy mieli wykazy ludzi, których mogli wpuszczać. Z tego powodu nie mogłam już zanosić tacie obiadów do pracy.

Spotkania z rówieśnikami były. Piwnica dla całego bloku była łączona i w ten sposób wszyscy mogliśmy się tam spotykać, zamiast wychodzić na mróz. Wspólnie odrabialiśmy lekcje, czytaliśmy książki na głos między sobą i maluchom, bo nie każdy je miał.

Jak wspomina Pani powrót do szkoły po tych dwóch tygodniach? (Czy nauczyciele wspominali o stanie wojennym, czy była to sensacja?)

Do szkoły nie chodziliśmy bardzo długo. Na pewno nie wróciliśmy w styczniu. Może w połowie lutego. Nie można było mówić o stanie wojennym, trzeba było się zastosować do zaleceń i wykonywać polecenia. Dzieci nie interesowały się polityką.

Największym jednak problem dla mnie były dojazdy do szkoły w Kozienicach. Trasa z domu do szkoły zajmowała mi godzinę. Pamiętam, że najpierw kierowcy mieli zabierać wszystkich pasażerów, ale potem strajkowali i zabierali tylko tych, którzy mieli bilety kasowe. Kasy wyprzedawały oczywiście wszystkie bilety, nie licząc się z osobami, które jeździły na miesięcznych, czyli głównie uczniami. Czasami było tak, że kończyłam lekcje o 13, a wracałam do domu ostatnim autobusem po 20. Wiele godzin spędzałam na posadzce na dworcu autobusowym. Dlaczego na podłodze? Otóż trzeba było ustąpić miejsca tym wszystkim starszym kobietom, które jechały na targ. Do dzisiaj odczuwam skutki spędzania wielu godzin na zimnej podłodze w niewygodnej pozycji. Mam o to żal do kasjerów, kierowców i tych kobiet. To nie był najlepszy czas dla dojeżdżających uczniów.

Jak stan wojenny wpłynął na Pani życie codzienne?

Przy -30° nie miałam odpowiednich butów, a w sklepach nic nie było. Pamiętam, że raz mamie udało się załatwić część, chyba ćwiartkę świniaka. W małej kuchni w bloku, bez okapu, przy zamkniętych i zasłoniętych oknach przetapiałyśmy smalec. No niestety zatrulałam się oparami i do dzisiaj odrzuca mnie na widok smalcu.

Problematyczne były też słynne kolejki do sklepu mięsnego. Co dwie godziny następowało odczytywanie kolejki, które swoją drogą trwało pół godziny. Nieważne czy noc czy dzień, dzieci zastępowały zazwyczaj swoich rodziców, którzy musieli pracować. W sklepie zawsze był chleb, a mleko, dostarczano pod drzwi mieszkań. Na kartki można było kupić masło, mięso, czekoladę i cukier. Osoby powyżej 18 roku życia miały dopisany alkohol i papierosy, którymi można było się wymieniać. Na przykład, jeśli sąsiad miał wesele, to kartki z mięsem wymieniał na te z alkoholem. Dzieci poniżej 18 roku życia miały zwiększoną porcję masła i mięsa.

Czy spotkała się Pani z jakąś niebezpieczną sytuacją w ciągu tych dwóch lat?

Oprócz niepokojąco wyglądającego wywozu solidarnościowca, o którym już wcześniej wspominałam, była jeszcze jedna sytuacja związana z jego osobą. Kiedy bawiliśmy się na dworze, a konkretnie siedzieliśmy na trzepaku, podeszli do nas obcy ludzie w czarnych długich płaszczach. W takiej małej społeczności widzieliśmy, że to nie są "nasi" ludzie. Wypytywali o tego pana, czy wiemy, gdzie mieszka, gdzie obecnie jest, czy coś widzieliśmy, jak się zachowywał, itp. Zadawali dużo pytań o jego dzieci, które zostały na ten czas przygarnięte przez pierwszego sekretarza partii, który mieszkał nade mną w bloku.

Skutkiem wprowadzenia stanu wojennego były liczne strajki i protesty. Czy Pani się z tym spotkała?

U nas nie było protestów, każdy chciał przeżyć. Byliśmy u siebie. Wiedzieliśmy, że to wszystko minie, a kiedy się skończy, dalej będziemy sąsiadami. Dlatego najpierw trzeba było być człowiekiem a nie urzędnikiem. W dodatku musieliśmy się pilnować, bo nasi rodzice pracowali w zakładzie, a nie chcieliśmy, aby przez nasze wygłupy stracili pracę. Jeśli ktoś został przyłapany na wywieszaniu plakatów albo strajkach, nie wracał do szkoły, nie był dopuszczalny do pracy, czasem dostawał bilet w jedną stronę.

Czy odczuła Pani represje w okresie stanu wojennego?

Osobiście nie. Nie interesowaliśmy się polityką, robiliśmy to, czego starsi od nas wymagali, czyli przestrzegaliśmy zasad. Denerwował nas jednak brak wyjazdów, dyskotek czy prób orkiestry.

Jak media społecznościowe (telewizja, radio) przedstawiały stan wojenny?

Tak jak już wspomniałam, oglądałam głównie niedzielny Teleranek i poniedziałkowy Zwierzyniec. No i nie zajmowała mnie polityka. Młodzież miała swoje rzeczy.

Czy chciałaby się Pani wrócić do tamtych czasów?

Jeśli na dojazdy do szkoły to nie, ale jeśli chodziłoby o lata mojej młodości, to jak najbardziej. Życie w stanie wojennym w tak małej miejscowości, kiedy się nie pracowało, było pewnego rodzaju zabawą w kotka i myszkę. Rodzice chronili nas przed robieniem głupot, których skutkiem byłoby wdanie się w konflikt polityczny.

Jak Pani wspomina dzień, w którym zniesiono stan wojenny?

W czerwcu 1983 roku zdjęto ogólne obostrzenia, ale nie wszystkie. W roku mojej studniówki (1984) panowała jeszcze godzina policyjna. Szkolne okna były zasłonięte matami maskującymi, a na korytarzach rozłożone były materace dla osób, które chciały się przespać. W końcu nie mogliśmy wyjść przed 6 rano.

Dzięki obecności zakładu, godzina policyjna była przesunięta według zmian pracowników na 23. My mogliśmy chodzić do 20. Dzień jak dzień. Nie widzieliśmy tej wolności, bo nic się nie zmieniło. W sklepach dalej nie było mięsa, cukierków czy pomarańczy (które swoją drogą można było kupić tylko w czasie świąt).

Jakie emocje wywołało zniesienie stanu wojennego?

Tak naprawdę - żadne. Życie toczyło się dalej. To było ważne wydarzenie, ale nie dla nas, dzieci. My cieszyliśmy się na myśl o dyskotekach.

Dziękuję za wywiad.

Również dziękuję.

Ewa Maruszczak

Święta Bożego Narodzenia ze stanem wojennym w tle

Na temat stanu wojennego i świąt Bożego Narodzenia rozmawiałam z panią Dorotą oraz panem Andrzejem. Oto, jak wspominają tamten czas...

Skromne, ale rodzinne święta



Ciocia Autorki z Mikołajem w okresie stanu wojennego

Pani Dorota w dniu wprowadzenia stanu wojennego miała 10 lat. Była uczennicą szkoły podstawowej w Zawichoście. Jej tata był znanym w okolicy tzw. „złotą rączką”, miał zakład naprawy sprzętu elektronicznego, głównie zajmował się naprawą telewizorów. Był również działaczem „Solidarności”, co było w tamtych czasach niebezpieczne. Z tego też powodu był on prześladowany, co tydzień miał stawiać się na posterunku milicji w Zawichoście w celu kontroli. Dochodziło również do sytuacji, podczas których w rodzinnym domu pani Doroty były przeszukania. Był to bardzo stresujący czas dla wszystkich domowników. Od dnia wprowadzenia stanu wojennego zarządzono również godzinę policyjną, która trwała od 22.00 do 6.00. Ogromnym problemem był zakup żywności. Wprowadzono w całym kraju tzw. „kartki żywnościowe”. Był to kwadratowy kawałek papieru z pieczętką, a dookoła były małe kwadraty do odcinania z nazwą produktu żywnościowego, który chciało się kupić. Brakowało właściwie wszystkiego. Ludzie w wyznaczonych dniach dostaw ustawiali się w potężnych kolejkach po podstawowe produkty żywnościowe. Taka sama sytuacja była również w innych branżach. Dla przykładu, pani Dorota opowiadała, że np. kiedy chcieli kupić pralkę czy jakiś mebel, to przed planowaną dostawą ludzie ustawiali się nawet 12 godzin wcześniej. Produkty w tamtych czasach traktowane jako luksusowe kupowało się jedynie w „Peweksie”. Znajdował się on w Sandomierzu w lokalu, który teraz zajmuje księgarnia „Na Starówce”.

W Peweksie można było kupować tylko za dolary. A do towarów luksusowych należały: słodycze, czekolada, kawa, cola, alkohole, kosmetyki czy zabawki. Asortyment był bardzo rozbudowany. Pani Dorota opowiadała też o bardzo wyczekiwanym czasie, jakim były święta Bożego Narodzenia. Jeszcze przed tym wydarzeniem był bardzo radosny czas dla dzieci - były to mikołajki. W czasach stanu wojennego prawie wszystkie przedsiębiorstwa robiły dla dzieci pracowników tzw. „święteczne paczki”. W zależności od tego, jak bogaty był pracodawca, takie „bogate” były paczki święteczne. Pani Dorota pamięta, że Mikołajki zakładowe zawsze odbywały się w „Zaciszu”. Była to jedyna restauracja w Zawichoście. W określony dzień odbywała się impreza dla dzieci i rodziców. Mikołaj wręczał wtedy każdemu dziecku paczkę z prezentem. Były to jednakowe zazwyczaj paczki. Dla wszystkich gości organizowany był skromny poczęstunek, gdzie królowały pączki i gorąca herbata. Pani Dorota mówiła, że był to naprawdę wspaniały czas i wspomnienia. Święta Bożego Narodzenia zazwyczaj były skromne. Zaczynały się oczywiście od przygotowań i ubierania choinki. W tamtych czasach nie było w sklepach zbyt wielu ozdób czy czekoladowych cukierków. Pani Dorota ze swoimi siostrami sama przygotowywała ozdoby, jej mama miała kilka cennych bombek, które były w domu bardzo pielęgnowane. W okresie przedświątecznym czasem udało się kupić słodycze, które później zwisały na choince. Były to przeważnie tzw. „długie cukierki” również zwane „sople” w kolorowych papierkach, które były wręcz rarytasem. W okresie przedświątecznym można było też kupić pomarańcze, które kojarzyły się dzieciom właśnie tylko z bardzo wyjątkowym czasem, jakim były święta. Pani Dorota mówi, że mimo wszystkich tych trudności święta były bardzo rodzinnym czasem. Skromne, ale bogate w uczucia, a czas spędzony z najbliższymi wspomina bardzo ciepło.

Ludzie bardziej się jednoczyli

Pan Andrzej w dniu ogłoszenia stanu wojennego miał 20 lat. Pamięta, że zima była bardzo mroźna. W całym kraju na ulicy zaczęło wychodzić wojsko ZOMO. Mieli oni za zadanie pilnować porządku na ulicach oraz ochraniać zakłady pracy. Pan Andrzej pracował w ZPOW w Dwikozach. Na ulicach zrobiło się niebezpiecznie. Pan Andrzej pamięta, jak na ulicach pojawiły się tzw. „koksiaki”, w których palono ogień, by ludzie mogli się ogrzać. W Dwikozach były tylko dwa sklepy. Jednym był sklep spożywczy GS, który mieścił się w miejscu dzisiejszego sklepu ogrodniczego w Dwikozach. Mój rozmówca pamięta ogromne kolejki do tego sklepu - głównie po pieczywo oraz żywność. Na półkach jednak królowało zazwyczaj kilka produktów: ogórki, konserwy, denaturat i ocet. To były ciężkie czasy. W miejscu, gdzie dziś jest supermarket Miła w Dwikozach, znajdował się skup żywca oraz sprzedaż węgla. Pan Andrzej wspomina, że dużo łatwiej mieli ludzie na wsiach, ponieważ rolnicy sami wytwarzali dla siebie produkty oraz mieli zawsze świeże mięsa z własnego chowu, świeże jajka, mleko czy ser. Często sprzedawali swoje wyroby w miastach. Pan Andrzej w 1982 roku spędził kilka tygodni w szpitalu. Tak go wspomina:

„Szpital mieścił się w Sandomierzu za Bramą Opatowską. W całym szpitalu nie było nawet jednego wózka. Szpital ogrzewany był piecami kaflowymi, w których paliły salowe. Przeważnie, każdego dnia, cały szpital był mocno zadymiony. W szpitalu był jeden telewizor, czarno-biały, który znajdował się na korytarzu.”

Pan Andrzej opowiadał również o imprezach organizowanych w domach. Wyglądały one podobnie do dzisiejszych „domówek”. Mój rozmówca wspominał, że ludzie bardziej się jednoczyli, chcieli się spotykać, być razem. Opowiadał również, że na Wigilię zawsze w jednym domu spotykali się sąsiedzi, wspólnie przygotowując posiłki i czekano na pierwszą gwiazdkę. Pan Andrzej uważa, że tak naprawdę to, co znajdowało się na świątecznym stole, zależało od kontaktów oraz od kartek żywnościowych.

Spisała Magdalena Barszcz

Świąteczne rozmowy z Dziadkami

Wielkimi krokami zbliża się Boże Narodzenie. W tym czasie zewsząd dobiega melodia piosenek świątecznych i kolęd, a z kuchni unoszą się wspaniałe zapachy. W pokoju oczy cieszą się światłeczka zwieszona na choince. Odliczamy dni do Wigilii... O to, jak kiedyś odchodzono te święta, zapytałam moich ukochanych dziadków – Zofię i Adama Fularów.



Autorka wywiadu ze swoimi Dziadkami

Dziadku, jak wyglądały kiedyś święta Bożego Narodzenia?

W święta, Małgosiu, chodziły kolędniki. W Boże Narodzenie, bodajże, jak pamiętam, zaczynały wizytę, chodziły we wsi do każdego domu. Pierwszy wchodził Anioł i pytał się, czy przyjmujemy kolędników. Jeżeli gospodarz odpowiedział, że tak, to wchodzili. Potem było Trzech Króli, którzy odprawiali swoją rolę, każdy miał swoją przepowiednię. Nie pamiętam dokładnie, bo już kupę lat minęło. Później wchodzili: Diabeł, Żyd, Śmierć, Herod. Każdy miał swoje do odegrania. Diabeł z Żydem bałaganu narobili w mieszkaniu, Śmierć była z kosą. Dzieci się ich najwięcej bały, chowały się przed nimi.

Za to na Sylwestra, pamiętam, jak miałem jakieś 12 lat, robiłem świece dymne.

Czym były świece dymne?

Nie pamiętam wszystkich składników, ale wiem, że brało się cukier puder, saletrę i to gotowałem w garnku na blaszanym kominie u babci. Dziadzius się pytał z babcią, co tam robisz, a ja mówię, że doświadczenie pani kazała w szkole zrobić. Musiałem ocyganić, nie? Bo inaczej, by mi nie pozwolili. Jedna porcja mi się udała, ale druga zapaliła się w tym garnczku. Chciałem wybiec z tym na dwór, wziąłem do ręki i drzwi mi się nie otworzyły i to mi się wylało na rękę...

Ojej!

Skóra calutka mi, normalnie, zesła. Dobrze, że w wodę, w śnieg wsadziłem, ale moja babcia jeszcze żyła, i doradziła, żeby ręce w denaturat włożyć. I włożyłem w miskę, wlałem denaturatu, to tam chyba z litrę denaturatu poszło i ten cały denaturat wsiąkł w ręce. Nawet do lekarza żem nie szedł z tym, bo co mi to? Jakimiś tam pudrami zasypywałem, no i obandażowałem ręce i tak chodziłem 2 miesiące z tymi rękami obolałymi. Takie były święta. Takiego miałem Sylwestra.

Narobiłem wtedy dużo kłopotu. Szkoła znajdowała się 200 metrów od domu, więc ojciec chciał iść do nauczycielki i krzychał: „Ja jej dam eksperymenty!” Poprosiłem brata: „Leć ty i powiedz ojcu, żeby nie szedł, bo, bo... Wiesz, żaden eksperyment, tylko świece dymne robiłem”. Ale i tak się nauczycielka dowiedziała, że powiedziałem ojcu, że eksperyment mi kazała robić.

A był jakiś nietypowy sposób obchodzenia dni pomiędzy Bożym Narodzeniem a Trzema Królami?

No kolędniczki chodziły do Trzech Króli. Zaczęły w Boże Narodzenie i po Trzech Królach już nie mogły chodzić.

A jak wyglądał kiedyś karnawał i ostatki?

Nie było tego, co dzisiaj, bo teraz to media napędzają. Dawniej nie mówiło się dyskoteka tylko zabawa. Po wsiach takie zabawy były - w Szczepana, Boże Narodzenie, Sylwestra. Sylwester był bardzo ładny, pamiętam. Później w Wielkanoc były zabawy i w lecie co niedziela. Zabawa zaczynała się od południa.

Dosyć wcześnie...

Kończyły się około północy. Dzisiaj zabawy zaczynają się o dwudziestej pierwszej, a za moich czasów dobiegały już wtedy końca.

Babciu, a jak Ty wspominasz czas adwentu i przygotowania do świąt Bożego Narodzenia?

W adwencie ważne były roraty. Niestety, chodziłam na nie rzadko ze względu na to, że kościół mieścił się 3 kilometry od domu, nie było chodnika oraz lamp ulicznych. Czasami były wielkie śniegi. Okres adwentowy wypełniały przygotowania do świąt. Dzieci same organizowały ozdoby choinkowe. Łańcuchy robiło się z prostej i żółciutkiej słomy oraz papierków po cukierkach. Układało się je naprzemiennie i wiązywało mocną nitką, by nie uległy rozerwaniu. Bibuła także służyła za materiał do łańcuchów. Sklejało się ją klejem, który robiliśmy z mąki i wody. Za ozdoby służyły orzechy oklejone złotkiem oraz małe czerwone jabłuszka. Choinki były jedynie żywe. Pamiętam, że jednego roku musiałam sama przynieść choinkę, więc wzięłam siekierkę i poszłam do lasu. Okazało się, że nie było na nią miejsca, więc przymocowaliśmy ją do belek na suficie. Przyozdobiliśmy ją dodatkowo włosami anielskimi i watą. Świeczki na niej były prawdziwe, umieszczone w lichtarzykach. Zdarzyło się raz, że ktoś otworzył drzwi, robiąc w ten sposób przeciąg i choinka się spaliła. Nie dotrwała nawet do Trzech Króli. Na szczęście dom pozostał cały.

Przed świętami się także gotowało. Ubijało się świnie, wędziło kiełbasę i boczek. Słoninę dzieliło się na płaty, które sownie solono, a następnie wieszano w chłodnym pomieszczeniu. Gdy była potrzebna, to się ją stamtąd brało. Piekło się także placki. Nie mogło zabraknąć z makiem oraz z jabłkami. Pierogi były oczywiście z kapustą i grzybami, ale także z jabłkiem, które robię do dziś. W Wigilię jedliśmy barszcz z kapusty, zasypany kaszą gryczaną. Nigdzie takiego nie widziałam, więc chyba tylko u nas taka tradycja.

A jak wyglądała już sama Wigilia?

Do Wigilii musiało być już wszystko zrobione, żeby i zwierzęta dostały jeść. Pozostawiano, jak w dzisiejszych czasach, pusty talerz. Najstarsza osoba dzieliła opłatek, a następnie zasiadało się do wieczerzy wigilijnej. Po niej szło się do obory, by dać zwierzątkom specjalny różowy opłatek. Następnie, jako nastolatki, zbieraliśmy się w grupę i udawaliśmy się na pasterkę. Razem było różnie, gdyż nie było światła i w ten sposób nie gubiliśmy drogi. Gdy wracaliśmy było bardzo wesoło. Rzucaliśmy się kulkami, czy robiliśmy orły na śniegu.

A drugi dzień świąt? Świętego Szczepana?

Nie było wtedy jakichś specjalnych zwyczajów. Jedyne święciło się owies, którym później rzucono w księdza podczas właśnie święcenia.

Czy chodzili kolędnicy?

Nie pamiętam, nie przeżyłam tego za moich czasów. Wizyty kolędników musiały mieć miejsce wcześniej.

A jak wyglądał karnawał?

U nas miejscowość była mała, jedynie 40 numerów, nie mieliśmy szkoły ani świetlicy. Ale ludzie spotykali się w domach. We wtorek przed środą popielcową były tak zwane „kusoki” i wtedy smażyło się jajecznicę na kielbasie. Pamiętam ten smak do dzisiaj.

A w jaki sposób obchodzono Sylwestra i Nowy Rok?

Nie było żadnych zabaw, jak już wspominałam. Jeszcze pamiętam, w tym czasie zimowym, odbywało się darcie piór. Około 4-6 sąsiadek umawiało się u jednej i razem się tym zajmowały. Na kolanach miały przetaki i skubały te pióra. Jeśli któreś się przysnęło, to rzucały w nią szczypiosem, czyli takim czymś, co kłuje w piórach. Następnie odbywało się uroczyste zakończenie. Gospodyni szykowała ciastka, a mężczyźni łapali jakiegoś ptaka, zazwyczaj wróbla pod strzechą, by na sam koniec darcia piór wpuścić go do domu. Ptak, próbując wydostać się z pomieszczenia, roznosił pióra po całym domu. Potem było dużo sprzątania.

Dziękuję bardzo Wam obojgu za udzielenie mi wywiadu.

Małgorzata Pękalska

Czuję ciepło od ludzi...

Na pewno każdy w święta wyczekuje przyjscia właśnie ich – kolędników. Przychodzą do nas, śpiewają, recytują, czasem nawet przedstawiają krótki teatrzyk. Trudno ich nie doceniać, pomimo zimna i chłodu dają nam cząstkę siebie. O coraz bardziej zanikającej tradycji kolędowania rozmawiałam z moją drogą koleżanką Martyną Bentkowską mieszkającą w Nowym Kamieniu pod Sandomierzem, która kolędnikiem jest już od paru lat.

Wiem, że należysz do grupy kolędników, z którymi chodzisz po domach, ile jest w niej osób?

Hmm... Nie jestem pewna, jak jest w innych parafiach, ale u mnie we Mściowie jest to raczej zmienna liczba. Zależy ona od tego, ile osób się zgłosi, co roku może być różnie. Zazwyczaj zgłoszonych jest około 12-13 osób, zostajemy wtedy podzieleni przez księdza na kolejne podgrupki złożone z 4-5 osób, tłok nie jest wskazany.

A jak wygląda sytuacja z przebraniami? Korzystacie z nich?

W tej kwestii też jest różnie, ja ze względu na swój wiek raczej się już nie przebieram, ale grupki są złożone z osób w różnym wieku. W tamtym roku byłam przydzielona z koleżanką o rok ode mnie starszą i dwójką młodszych dzieci. Jedno z nich przebrało się za aniołka, a drugie za diabełka, wyglądali naprawdę ślicznie.

Jak wyglądał Wasz repertuar? Czy wykorzystywaliście jakieś rekwizyty lub instrumenty?

W tej sprawie panuje u nas raczej duża wolność wyboru. Ja zajmuję się recytacją wierszy, wybieram zwykle dwa, jeden dłuższy skierowany dla starszych parafian i drugi krótszy i z nutką humoru dla dzieci. Bardzo mile widziane są też osoby grające lub śpiewające, całe szczęście takich nie brakuje. Wygląda to zwykle tak, że jedna osoba w grupie zajmuje się właśnie muzyką, zarówno gra na instrumencie, jak i śpiewa. Najpopularniejszymi instrumentami w tej „branży” jest gitara i flet, ale nie brakuje też osób z skrzypcami lub keyboardem. Mniejsze dzieci zajmują rolę chórków oraz rozbawiają gospodarzy swoimi akcesoriami, na przykład gwiazdką betlejemską lub laską pasterską.

Nie brzmi to jak coś, co można zrobić od tak. Ile zazwyczaj czasu zajmuje wam przygotowanie? Macie jakieś próby?

Jest z tym troszkę pracy, ale jak widzi się potem uśmiechy widzów, ma się poczucie, że było warto. Jeśli chodzi o czas przygotowań, to jest on zależny od osoby. Ja na naukę tekstu i recytacji poświęcam tydzień, codziennie powtarzam sobie tekst minimum 20 minut. Nie mamy raczej jakichś specjalnych prób, wygląda to raczej tak, że spotykamy się pół godziny przed obchodami i ustalamy wszystko z księdzem, robimy ostatnie poprawki i ruszamy w drogę.

Z tego, co wiem, to w twojej parafii jest dość dużo domów, jak sobie z tym radzicie? Ile czasu przeznaczacie na jeden dom?

Nie jest to takie trudne, jak może się wydawać. Kilka dni przed rozpoczęciem kolędowania przygotowana jest rozpiska, na której znajdują się wszystkie potrzebne informacje. Staramy się zawsze robić wszystko staranie, ale także musimy się śpieszyć, w jednym domu spędzamy około 10 minut, nie więcej. Schodzi z tym około tygodnia. Jeśli jednak uwiniemy się wcześniej, ustalamy w grupie, czy idziemy do następnego domu, aby ostatni dzień był krótszy czy tego dnia kończymy wcześniej.

Mówisz, że czasem odwiedzacie więcej domów w ciągu dnia niż jest na rozpisce, wynikają z tego później jakieś konfrontacje z resztą grup? Konkurujecie między sobą?

Jest to akurat nieoczywista sprawa, nie konkurujemy z sobą otwarcie. Wygląda to raczej tak, że po każdym dniu pojawiają się takie pytania jak: „Ile domów dziś zrobiliście?” czy „Jak tam wam dzisiaj poszło?” W zależności od zdobytych informacji albo cieszymy się, że najlepiej nam poszło, albo szukamy sposobów, aby nadrobić i przebić „konkurentów” w dniu następnym. Z tego powodu też nie możemy nigdy opuścić gardy, to walka o honor.

Już wiemy, jak wyglądają wasze przygotowania, a co możesz powiedzieć o przygotowaniu osób was przyjmujących?

Trudno jest mi je ocenić, ponieważ różni ludzie różnie nas odbierają, całe szczęście nie spotkałam się jeszcze z żadną nieprzyjemną sytuacją. Niektóre osoby przygotowują nawet poczęstunek dla nas, wtedy z wielkim smutkiem, ale musimy odmawiać, nie mamy raczej na niego czasu. Jest to naprawdę przykre, bo niektóre z dań wyglądają naprawdę zachwycająco. Najmilszym uczuciem jest jednak, gdy na nasze przyście cała rodzina odrywa się od swoich obowiązków, przychodzi, stają wszyscy razem i wtórują nam w piosenkach. Bardzo miłe jest też dostawanie maleńkich upominków, pierniczków lub amoniaczków, czasem dostajemy także jakieś małe bonusy pieniężne, ale to jest już raczej nasz kolędniczy sekret...

Czy miałaś kiedyś jakąś sytuację związaną z kolędowaniem, która szczególnie zapadła ci w pamięć, którą będziesz długo wspominać?

Co roku dzieje się coś ciekawego. Dwa lata temu wydarzyła się historia, której chyba nigdy nie zapomnę. Był to już trzeci dzień obchodów domów, poprzedniego dnia zabrakło nam 2 domów, żeby być na szczycie czołówki, więc ten dzień musiał nam pójść jak najlepiej. Było bardzo zimno, a drogi było tak śliskie, nie mogliśmy poruszać się zbyt szybko, tym bardziej, że był z nami 7 letni chłopiec, na którego szczególnie uważaliśmy. Byliśmy już przy jednym z ostatnich domów, gdy okazało się, że nasz maluch zgubił czapkę. Zaczęła się panika, udało nam się jednak uspokoić i pomyśleć trzeźwo. Uznaliśmy, że nasz kolega zostanie z siedmiolatkiem, a ja z koleżanką spróbujemy jak najszybciej załatwić sprawę i znaleźć zgubę. Największym problemem było to, że obwinił się on o to i było mu bardzo przykro, to chyba jemu najbardziej zależało na zwycięstwie. Dodaliśmy mu trochę otuchy, choć już raczej nikt z nas nie łudził się wygraną. Całe szczęście czapka znalazła się w ostatnim domu, jaki odwiedzaliśmy. Udało nam się szybko wrócić do grupy i szliśmy dalej. Zrobiliśmy o jeden dom mniej niż było w rozpisce. Byliśmy trochę smutni, ale pomyśleliśmy, że następnym razem bardziej się postaramy. Największym zaskoczeniem tego dnia było to, że mimo tych wszystkich komplikacji wygraliśmy. Inni mieli jeszcze większe problemy. Czuliśmy się naprawdę super.

Co najbardziej motywuje Cię do bycia kolędnikiem?

Moja największą motywacją jest chyba poczucie ciepła od ludzi, do których przychodzimy. Wpływa na to głównie świąteczna atmosfera, radość i szczęście. Wiem też, jak dużą satysfakcję takie spotkanie daje osobom samotnym, starszym. Chyba to mnie najbardziej nakręca do działania.

Chcesz coś jeszcze powiedzieć? Na przykład do osób, które myślą nad zostaniem kolędnikami?

Mogę tylko powiedzieć, żeby przestali nad tym myśleć, tylko po prostu zaczęli działać. Trudno mi zliczyć wszystkie miłe chwile i ciekawe osoby, które poznałam dzięki tej działalności. Odkąd zostałam kolędnikiem czuję się na pewno bliżej osób z mojej parafii, wcześniej nikogo nie znałam, a teraz czuję ciepło od każdego przechodnia. Naprawdę warto!

Życzę Ci wesołych świąt i dziękuję za wywiad.

Nawzajem i również dziękuję.

Małgorzata Oszczędtowska

Czy wiesz, że... **w Ossolinie jest kaplica zwana Betlejką?**



W XVII wieku za sprawą Jerzego Ossolińskiego wybudowano kaplicę w Ossolinie na wzór Groty Narodzenia Pańskiego w Betlejem. Jak głosi legenda, ziemia, którą ją obsypano, została przywieziona aż z nad Jordanu, z miejsca urodzenia Jezusa. Budowla ma formę naziemnego kopca, ponad którym wznosi się wysmukła kamienna wieżyczka.

Fundator kaplicy był zamożnym i wpływowym magnatem związanym z ziemią sandomierską, doradcą króla Władysława IV, kanclerzem wielkim koronnym. Jego rodowy pałac znajdował się w Ossolinie. W pobliskim Klimontowie ufundował kolegiatę św. Józefa, w której został pochowany w 1650 roku.

Niektóre źródła historyczne podważają jednak tezę o fundacji kaplicy przez Jerzego Ossolińskiego, głosząc, że powstała ona wiele lat po śmierci kanclerza, bo w 1690 roku. Inicjatorem jej powstania był starosta wiślicki Franciszek Teodor Denhoff. W połowie XIX wieku pielgrzymi przywieźli do niej urnę z ziemią z Betlejem. Ponownie sprowadzono ją również w 1996 roku.

Kaplica jest dumą Ossolina. Co roku odbywa się w niej uroczysta pasterka, której towarzyszy ognisko pasterskie i pokłon Trzech Króli.

Na cmentarzu we Włostowie znajduje się kaplica grobowa Karskich z początku XX wieku wzorowana na tej siedemnastowiecznej z Ossolina.

Agata Smyła

SANDOMIERSKIE SKARBY

Obraz Matki Boskiej Brzemiennej



Wielu z nas przestępowało progi naszej pięknej, sandomierskiej bazyliki katedralnej. Wspaniałe wnętrze i atmosfera panująca w tym niezwykłym zabytku niezmiennie przyciąga wiernych i turystów. Jednak, jak wielu z nas zwróciło uwagę na jeden z pięknych obrazów, który znajduje się w środku? Jak wielu skierowało swój wzrok na obraz Matki Boskiej Brzemiennej znajdujący się na pierwszym prawym filarze świątyni?

Obraz ten powstał pod koniec XVIII wieku i jest dziełem nieznanego do tej pory autora. Wizerunek Maryi stojącej na postumencie w ujęciu en pied (fr. do stóp) został oprawiony w piękną, złotą ramę, która udekorowana została liśćmi. Brzemienne Maryja ubrana jest w długą, białą suknię i błękitny płaszcz, z welonem na głowie. Stoi nieznacznie zwrócona w lewą stronę. Na tajemnicę Jej macierzyństwa wskazuje wyraźnie wypukły brzuch, który otula prawą ręką zgiętą w łokciu. Zwraca też uwagę łagodna, uduchowiona twarz Maryi.

Takie przedstawienie Maryi w sztuce jest niezwykle rzadkie, w dostępnych mi źródłach nie znalazłam zbyt wielu opisów podobnych dzieł. Warto wspomnieć o wizerunku Maryi Brzemiennej z Guadalupe, na którym stan błogosławiony Maryi sugeruje czarna wstęga opasująca jej talię - dla Azteków był to znak brzemienności.

Na sandomierskim obrazie przedstawiony jest jeden z najpiękniejszych możliwych momentów w życiu Maryi. Dzieło jest nie tylko niezwykłym zabytkiem, lecz także wielkim świadectwem wiary, prawdziwym skarbem.

Julia Szymanowska

FOTOGRAFIA Z RODZINNEGO ALBUMU



Zdjęcie zostało zrobione w sandomierskiej wsi - Zbigniewice Kolonia - w 1954 roku przez jednego z gości weselnych. Fotografia przedstawia ślub moich dziadków Stanisława Marca i Marianny z domu Moskal. Po prawnej stronie Panny Młodej stoi Julianna i Antoni Marcowie (rodzice Pana Młodego) natomiast koło Stanisława - Władysław i Władysława Moskalowie (rodzice Panny Młodej). Na rękach mamy Panny Młodej młodszy od niej o dwadzieścia i pół roku brat Stanisław. Na drugim planie zdjęcia widzimy nieznanego przechodnia.

Uroczystość weselna odbyła się u rodziców Panny Młodej. „Granie” było u mieszkających po drugiej stronie drogi państwa Żurawiów. Moi dziadkowie doczekali się pięcioro dzieci, czternaścioro wnucząt oraz jedenaścioro prawnucząt. Do dziś, choć w podeszłym wieku (Stanisław ma 94 lata, Marianna - 89) żyją szczęśliwie i bardzo się kochają.

Aleksandra Marzec



Redakcja

Agata Smyła (redaktor naczelna), Joanna Nowakowska, Małgorzata Pękalska, Wiktoria Pińkowska, Współpraca: Magdalena Barszcz, Marta Bisztyga, Patrycja Duma, Aleksandra Hebda, Ewa Maruszczak, Aleksandra Marzec, Małgorzata Oszczędłowska, Julia Szymanowska

Skład

Weronika Ramus

Projekt okładki

Jakub Cupisz (absolwent CG z 2018 r.)

Opieka

Renata Stawowy